

PRZEGLĄD

LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.

W Krakowie: rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.
 Z przesyłką w Austrii: rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.
 W Wielkopolsce: z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.

Adres Redakcji i administracji:

K. Bartoszewicz w Krakowie
 Rynek, Hotel Drezdeński.

Przeгляд wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

Rękopisma nie zwracają się.

Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.

Cena pojedynczego numeru 30 ct.

CO ZA SZKODA!

(FANTASMAGORYA)

Przez Józefa Blizińskiego.

...Byłem zgryziony i rozdrażniony do najwyższego stopnia, cały świat przedstawiał mi się w czarnych kolorach, chociaż to była wesoła pora majowa i słońce świeciło prześlicznie.

Ale któż w mojem położeniu mógłby się zachwycać tym Majem? bo proszę tylko posłuchać:

Przed paru laty, w skutek familijnych układów przyszedłem do własności mająteczku na Podolu Galicyjskiem, wielce jak mi się zdawało obiecującego, ale obecnie tak opuszczonego, że trzeba było takiego romantyka jak ja, żeby widział w tem dobry interes. Zresztą interes może i był, ale wymagał włożenia grubych pieniędzy, tymczasem mnie owe układy wyszlamowały kieszeń do czysta; wprawdzie wypłaciwszy wszystko co się odemnie należało i zyskawszy prawo do majątku zupełnie wolnego od długów, rachowałem na kredyt, ale... tu właśnie jądro wszystkiego złego.

Jest u nas przysłowie, nad którym się w tej chwili zastanawiałem: «kochajmy się jak bracia, a drzyjmy się jak żydzi,» co tłumacząc na zwykły język znaczy: «nasładujmy żydów, którzy nie rządzą się sercem w interesach i dlatego robią pieniądze.» Tak, ale to łatwo radzić, a trudniej wykonać: jakże się tu z familiją rachować tak już nieustępnie, albo co gorzej wodzić po sądach, kiedy to trzeba rozmaite względy mieć na uwadze. Oto ten np. ma kilkoro dzieci, których edukacja niemało kosztuje, gdy ja mam tylko jedno i zdaje się, że więcej nie będzie, więc jakoś człek prędzej sobie da radę; tamten znowu, pomimo że mu przypadł lepszy udział, jest w długach po uszy!—pilnować się mu bezwzględnie litery prawa, byłoby to zanurzyć go w tej przepaści jeszcze głębiej; trzeci nareszcie... o tym trzecim wolałbym nie mówić: wyeksploatował mnie co prawda, ale mamże już konieczność odplacić mu tą samą monetą? oko za oko, ząb za ząb? to nie po chrześcijańsku. Zresztą, w podobnym razie, gdy człowiek czuje się niesłusznie pokrzywdzonym, pozostaje zawsze pewna kompensata moralna: tylko niskie charaktery wyzyskują egoistycznie takie położenie.

No, ale koniec końców, skutkiem ustępstw, jakie robiłem przy owych układach familijnych, znalazłem się w fatalnej sytuacji: oczekując ciągle na uregulowanie hipoteki i podniesienie przynależnej mi pożyczki Towarzystwa kredytowego, pomimo dopeł-

nienia z mojej strony wszystkiego co do mnie należało, miałem majątek zamazany po dawnemu; więc pozbawiony kredytu, zacząłem się szargać, włączając coraz więcej w tak zwane parszywe to jest żydowskie długi. Któż nie zna tej plagi dziesiątkującej naszych rolników, którzy chcąc nie chcąc stają się białymi murzynami brodatych eksploatatorów? Obrońcy wolnego geszeftu twierdzą, że te rzekome ofiary same sobie są winne: ani słowa, że i takich nie brak — ale jeżeli znajdzie się ktoś tyle nierozsądny, że włączając w kałużę stoi w niej tak długo, aż go obsiadają pijawki, to te ostatnie nie tracą przez to charakteru istot pasażerskich, żywiących się cudzą krwią i potem.

Otóż takie pijawki poobsiadały i mnie, ponieważ rad nie rad włączłem w błoto. Oganiałem się od nich jak mogłem, płaciłem haracz, tu brałem tam oddawałem, bawiłem się w szubieniczkę, ale przy każdym braniu cyfra długu się powiększała, a przy mazaniu ani myślała się zmniejszać, więc ciągle przybywało długów. Pomiędzy temi pijawkami były rozmaite: jedne wiecej, drugie mniej krwiożercze, jedne łagodne drugie okrutne, ale ponieważ wszystkie z równem nabożeństwem modliły się do jednego i tego samego bóstwa, zwanego procent czyli geszeft, więc na tym punkcie zarówno były nieugiętymi i każda na swój sposób dawała mi się we znaki. Jeszcze czasem wolałem mieć do czynienia z egzemplarzem drapieżnym, bo ponieważ ów czczony przez nich bożek wymaga zaparcia się tego wszystkiego, co zwykli ludzie rządzący się uczuciem i honorem mają na pierwszym względzie, więc za skromną stosunkowo opłatą, mogłem przynajmniej nieraz wyburzyć się i wyszumieć, co mi robiło ulgę, a czasem nawet w cztery oczy bez świadków wziąć się np. do kija. Niekiedy, znając moje usposobienie wywoływano u mnie podobne porwy: a ci właśnie panowie, rozstawali się ze mną w najlepszej komitywie, dostawszy «za drogę» (o uszczerbku na honorze nie bywało wcale mowy) jaką ćwierć zboża albo gęs na święta.

Przestałem nareszcie bywać w miasteczkach i chyba już ostatnia konieczność zapędziła mnie na jarmark albo targ—a każdą taką bytność niemal odchorowałem, tyle mi to robiło nieprzyjemności: ale bo jakże tu było zachować zimną krew. Zajeżdżam i wysiadam dajmy na to w miejscowej jadłodajni; spojrzę przez okno: po rynku przechadzają się w chałatach a niekiedy i w szlafrokach jakby u siebie w domu, wyznawcy bożka Geszefta, niby jakieś istoty uprzywilejowane niepotrzebujące pracować, lecz na których utrzymanie powinna była składać się ta część ludności, która z powodu ciężkich obowiązków niema czasu na takie spacery. Czyż to człowieka nie drażni? Snują się poważnym krokiem paląc fajki i głaszcząc brody, niekiedy łączą się po dwóch i po trzech bawiąc się rozmową, wśród której sly-

chać co chwila «geszest.» Szczęśliwe bóstwo, które ma tak gorących wyznawców!

Ledwo krokiem wyjdę na miasto, przybliży się jeden, drugi i dziesiąty. Bóg widzi, że większa część odebrała już dawno to, co im się sumiennie należało; to zaś, co pozostawałem dłużnym było z mojej strony tylko przymusową ofiarą na ołtarzu ich kultu; jednych termin co prawda już minął, ale niektórych jeszcze nie nadszedł, pomimo to każdy zaczyna rozmowę od wyrazów: jak będzie z nami? — a potem: czy pan co przywiózł dziś? — albo: czy pan zapłaci na termin?

Rzeczywiście trzeba bardzo panować nad sobą, żeby znośić filozoficznie te dokuczliwe ukłucia, to też chroniłem się przed nimi ile możności.

Ale i w domu nie miałem spokoju, nasyłano mi listy albo odwiedzano od czasu do czasu osobiście i... rzecz dziwna: ci panowie, którzy u siebie mogli swobodnie spacerować w szlafrokach po całych dniach, na przyjazd do mnie wybierali czas najdroższy, którego każdą chwilę cenili nader wysoko, tak, że musiałem płacić zawsze za «stratę czasu.» Listy otrzymywane od nich zbierałem do użytku redakcji pism humorystycznych; mnie samego nie rozśmieszały one bynajmniej, pomimo wielu do tego kwalifikacji.

Oto właśnie jeden z nich, z podpisem pana Szai Wucherman, odebrany przed tygodniem a główny powód mojej dzisiejszej irytacji. Brzmiał on jak następuje:

Wielmożne P. D.

Obiecał p. d. pieniędzy posłać do konca kwietnia a drżisz iuz mam i Maja i nie widacz a ja konieczne poczebuję bo teraz przednowem to poczebuję na handel wjenc prose do wtorku zebe p. d. bul laskawi i odeslacz nalezitosc bo wience czekacz nie moge a jezeli p. d. nie odesle to bede musal skarzic i bede muszoni weksla po slacz do adwukata i bedzie panem stydu narobycz padam do nuk i zice wesole Maja.

Szaja Wucherman.

No, i on mi życzy wesołego maja, w liście, którym zapowiada protest wekslu! nie jesteście to naigraniem się? ah! ten Wucherman, co on mi już krwi napsuł! wziąłem od niego przed dwoma laty sto korcy owsa do siewu, za który zostałem winien 300 reńskich; spłaciłem już 200, ale to poszło na procenta, a dług długiem jak był tak jest całkowity, i jeszcze musiałem wystawić weksel?

Nie mogąc w tej chwili zapłacić, a nie mając ochoty jechać do pana Szai, użyłem pośrednictwa obywatela tegoż samego miasteczka, a brata mojego arendarza, Borucha Ires, znajdującego się właśnie w owej chwili przypadkiem w karczmie, z kąd przyszedł do mnie niby z odwiedzinami, a właściwie, żeby się czegoś dowiedzieć, bo był wtajemniczony w ten interes. Sam on nie miał teraz pieniędzy (tak mi się zaklął), ale zobligowany przezemnie (dostał za to koguta) odjeżdżając przyrzekł najsolennie, że tegoż dnia jeszcze będzie się widział ze swoim krewnym Mendlem Flajszerem. Ten Mendel z pewnością załatwi interes Wuchermana, albo skłoniwszy go do układow, albo też dawszy mu tymczasem choć ze sto reńskich na mój rachunek, co powinien koniecznie zrobić, bo niedawno oddałem mu resztę należności, którą mu byłem winien, co do centa z grubym procentem. Z tem odjechał.

Tegoż dnia jeszcze późnym wieczorem, przez wracającego z miasteczka arendarza otrzymałem następującą karteczkę od jego brata:

«To co pan iz zemnę dziszci gadał z tem interesę cos mnie gadali daje w. pana odpis jak mi p. Proszyl gadalim iz P. Fleiszerem gadal jak pan sam bedzy w miescie jakosz bedze. Boruch Ires.»

No, jak tylko Flajszer powiada, że jakoś będzie, to on mi to załatwi; pocziwy Mendel! jak to dobrze, że mu wszystko oddał nie targując się o procent, mam teraz u niego kredyt. Warunek, że bym był sam w mieście, uważałem za mniejszej wagi, natomiast napisałem zaraz do Mendla list bardzo serdeczny, w którym starałem się zaznaczyć jak najwyraźniej, że w nim pokładałem całą nadzieję. Poślawszy ten list na pocztę, czułem się spokojniejszym — aliści po upływie tygodnia odbieram pismo otwarte czyli korespondentkę opiewającą co następuje:

«Gadalim, is panim Wucherman. Niechce. Czekacz. Radze panim. Ziebi pan konieczne zrobicz. zebi pan Prziwiesz pinędze. Mendel Fleiszer.

Ta wiadomość była dla mnie tem nieprzyjemniejszą, że nie się jej wcale nie spodziewałem; byłem optymistycznie usposobiony, a tu tymczasem... szelma Mendel! tak pewno na niego rachowałem!.. ale cóż! widzi, że mam nóż na gardle i dlatego się drożę... bo to tylko jest drożenie się... niepodobna, żeby nie dał jak sam pojedę... trzeba było tak zrobić od razu, a nie spuszczać się na listy... Ale co on mi teraz zaśpiewa z procentem? wie, że muszę dać, bo z tym Wuchermanem niema żartów, zaprotestuje weksel jak dwa a dwa cztery... Przysięgłbym, że obadwaj są w znowie, wyzyskują mnie... ale cóż robić?.. W towarzystwie ani w żandym banku nie dostanę, dopóki z tą hipoteką nie będzie końca... chyba by znaleźć poręczyciela... ale szukać go, żebrać podpisu, narażać się na odmowę? padam do nóg! wołuję już z Mendlem... niech mnie jeszcze ten raz obedrze. Jednakże, jeżeli nie da, co będzie?

Zmęczony temi przyjemnymi myślami, położyłem się na sofie, bo to była pora poobiednia, w której zwykłem być drzemać; ale nie mając ochoty do snu, wziąłem do rąk świeżo otrzymaną broszurę o kwestji żydowskiej, którą to kwestję od niejakiego czasu pilnie studjowałem, w nadziei, że wśród tej powodzi rozumowań *pro i contra*, spotkam się z receptą, z pomocą której dałby się wytworzyć jakiś *modus vivendi* z moimi przesładowcami. Czytałem, ale w głowie mi się kotłowało, wyobrażnia nasuwała ponure obrazy, a pomiędzy wierszami czytanej broszury, majaczyły figury Szai Wuchermana, Mendla Flajszera, wóźnego z sądu z pozwem w ręku. nareszcie dalegata sądowego zesłanego na sekwestrację; wszystkie te miłe osobistości tańcowały przedemną, szydziły śmiejąc się cynicznie, kłuły bezlitośnie spojrzzeniami, w których nie było ani isierki podnioślejszego uczucia, ubolewania nad rozpaczliwym położeniem bliźniego.

Z tych marzeń, które zaczynały już przechodzić w senność, zbudziło mnie skrzypnięcie drzwi, w których ukazały się dwie postacie. Jedną był mój niedaleki sąsiad p. Abraham Szczęsnodolski, dzierżawca Zablotowic, drugą, jakąś nieznaną mi a zagadkowa figura. Nie słyzałem wcale kiedy zajechali.

Może to kogo zdziwić, że mój sąsiad, dzierżawca wsi i nazywający się Szczęsnodolskim, miał imię zapożyczone ze starego zakonu. Było to rzeczą bardzo naturalną, ponieważ sam był starozakonnym. Ojciec jego renomowany lekarz, człowiek wielkiej nauki, zwał się Glücksthal, ale chowając syna na obywatela a nie wyzyskiwacza kraju, w którym się urodził, dla niego wyłącznie, bo już prawie na łożu śmierci, postarał się na legalnej drodze o spolszczenie nazwiska.

Młody Abraham mówił jak najczyściej po polsku, był wysoko wykształcony, znał kilka języków nowożytnych, a z starożytnych głównie hebrajski, który studjował z zamiłowaniem: szwargot żydowski rozumiał o tyle tylko, o ile władał językiem niemieckim a władał nim biegle. Zresztą był człowiekiem bardzo przyzwoitym, lubianym w sąsiedztwie i przyjmowanym we wszystkich towarzystwach.

Gospodarował w Zabłotowicach wzorowo, a charakterystycznym było, że najpierwszą jego czynnością po objęciu majątku, było wyrugowanie z karczmy żyda Jankla, który trzymając propinację po ojcu i dziadzie, uważał się już niemal za jej właściciela. Śmiejąc się mówił p. Abraham, że uczynił to dlatego, aby nie wodzić na pokuszenie swego współwyznawcę, a chłopstwo naprowadzić na drogę wstrzemięźliwości. Pozostawił mu tylko grunt należący do propinacji pod korzystnymi warunkami, piśnie czuwając nad obrotami Jankla i chcąc zeń zrobić koniecznie rolnika.

O drugiej figurze, którą nazwałem zagadkową, nie wiedziałem co myśleć, bo nigdy w życiu nic podobnego nie widziałem. Był to widocznie żyd, ale ani surdutowiec ani chałciarz, bo jego suknia jedwabna miała formę raczej księżej sutanny; nie nosił ani pejsów ani jarmułki na głowie, a brodę miał z rzymska przyszyzoną. Cóż to mógł być za jeden?

Niedługo potrzebowałem łamać głowę, bo Szczęsnodolski zaprezentował mi swego towarzysza.

— Mój kolega szkolny — rzekł — Dawid Koziogórski, doktor filozofji.

A widząc moją minę, w której malowało się coraz większe zdziwienie, dodał z uśmiechem:

— Nasz nowy rabin.

Tu już zgłupiałem na dobre: rabin w sutannie bez pejsów i z przyszyzoną brodą: cóż to za dziwoląg? mistyfikacja czy co?

— Pan dobrodziej się dziwisz — rzekł czystą polszczyzną rabin — nic naturalniejszego: bo też istotnie jestem jedynym może dotychczas pionierem na drodze cywilizowania i uobywatelenia moich współwyznawców. Ale przecie nie nazwiesz pan tego bzikiem reformatorskim.

— A, broń Boże! — zawołałem — ale powiem szczerze, że trudno mi zrozumieć... rabin... pan Koziogórski... polak wyznania mojżeszowego...

— Niestety — odrzekł — do tegośmy już doszli, że wy-daje się to dziwolągiem! Mój ojciec nazywał się Ziegenberg, ja zmieniłem nazwisko, nie przez fanfaronadę ale po prostu z zasady. Jak nic naturalniejszego, że cudzoziemiec osiadły w kraju, pomimo spolszczenia się, zachowuje nazwisko jakie z sobą przyniósł, tak znowu my zrodzeni na tej ziemi, która od tylu pokoleń była naszą karmicielką, przybierając rodowe nazwy, wyłącznie niemieckie, dawaliśmy dowód karygodnej niewdzięczności względem tych, których sokami żywiliśmy się i żywimy.

— Panie doktorze! — zawołałem z uwielbieniem, ściskając silnie jego rękę — jesteś pan prawdziwym obywatelem kraju.

— Na tej drodze pragnę wytrwać — odrzekł oddając mi uścisk i wpadając w patos — ciężką jest ona i przykrą, jak każdy gościniec nieutorowany, ale dzieło do którego pragnę wnieść podwaliny, wymaga poświęceń. Ufam, że w kole tutejszej inteligencji będę miał sposobność zaczerpnąć sił, ile razy zadanie moje wyda mi się ciężkiem. Wszak będę mógł uważać się za sąsiada i dom pański znajdę dla siebie otwartym?

— Ale panie Koziogórski dobrodzieju! niema o czem mówić — rzekłem — zaszczytem to będzie dla mnie... Istotnie... mieć takiego sąsiada... nie spodziewałem się... I dawno pan doktor jesteś w naszych stronach?

— Od paru miesięcy.

— Nic nie wiedziałem.

— (bowiązki moje rozpocząłem od rzeczy najpilniejszej, to jest od zniesienia hederów; że przetrwałem i pokonałem wzburzenie jakie z tego powodu powstało, uważam to za cud. Dzieciom kazałem chodzić do szkoły miejscowej chrześcijańskiej, religji zaś uczyć ich sam... po polsku. W tym także języku wyłącznie

rozmawiam z moimi współwyznawcami, nie tolerując żydowskiego szwargotu, którego używanie jest nonsensem niczem nie usprawiedliwionym.

— Panie doktorze! — zawołałem znowu — prawdziwie... jesteś pan... nie mam słów! misja pańska jest wielką, zwłaszcza, jeżeli nadto ze swego stanowiska... zechcesz pan dołożyć starania... wejrzyć w to, żeby...

— Rozumiem pana — rzekł rabin — chcesz pan mówić o wykorzenieniu lichwy, o umoralnieniu mas.

— Istotnie, to miałem na myśli.

— Początek na tej drodze już zrobiony. Wpajam w nich poczucie obowiązków obywatelskich, uczę pojęcia o zjednoczeniu i zrównaniu wszystkich wyznań wobec sumienia, codziennie wydobynam po cegiełce z tego chińskiego muru, jaki nas dzieli od reszty narodu. Swoją drogą staram się o zachowanie religijności, bo nic zgubniejszego, jak popadanie w ową bezmyślną, handlar-ską bezwyznaniowość, nie mającą nic wspólnego z bezwyznaniowością filozofów.

P. Koziogórski zapalał się coraz więcej i mówił z wzrastającą emfazą.

— Spójrz pan na te rosnące z dniem każdym zastępy już nie prostych geszefciarzy z lichwiarską duszą, ale złodziei powierzonego im grosza, którzy oblekwszy się w skórę bezwyznaniowych kosmopolitów, trwonią ten skradziony grosz na rozpustę; spojrz na setki dziewcząt zgubionych, co przed laty należało do wyjątków. Te zastępy, to zapowiedź naszej ruiny, nasze Manne Tekel Fares. Statystyka oblicza za ile lat nasza ludność zrówna się z chrześcijańską i zgromadzi ostatecznie w swych rękach wszystkie bogactwa; nie bierze w rachubę tych czynników rozkładów. Mściwa Nemezys rozpoczyna swoje dzieło!

— Dużo wody upłynie, nim go dokończy — mruknąłem pomimowoli.

— Niechęć mówi przez pana — rzekł tonem niewypowiedzianej goryczy — Niestety, masz do niej wszelkie prawo. Formy naszych myśli, nadziei — różne — coż mogliście w nas pokochać? co w nas poszanować? gwałt sobie zadajecie zbliżając się do nas. Gdzież ludzkość, tolerancja, grzeczność, które w innych ludach oświecenie i cywilizacja rozwija i przez które zbliża z sobą ludzi z ludźmi, narody z narodami?

Co u diabła! czy mnie słuch omylił? Mówił z uniesieniem goryczy dyktującej mu jakoby wyrazy, a powtarzał słowo w słowo to, co przed godziną czytałem w broszurze leżącej właśnie na stole. Spojrzałem czy z niej nie czytał, ale oczy miał spuszczone ku ziemi.

— Jest to winą mas — mówił dalej, — które skutkiem kabalistycznych naleciałości narzuconych przez fanatyzm okazały się nieprzejednanymi wrogami postępu i cywilizacji, które zachowują odrębność wraz z najwstrętniejszym jej wyrazem, szwargotem. Ale nie wierz pan tym fałszywym interpretatorom, którzy w samym naszym zakonie wskazują przyczyny tej odrębności. Judaizm oparty na czystym Mozaizmie, jako religja nawskroś etyczna, w zasadzie godzi się z każdą formą społecznego ustroju.

Zamilkł i przymknął oczy jakby zmęczony, a twarz jego przybrała wyraz jakiejś boleści.

— Pozwól pan — rzekł po chwili zupełnie innym, cichym tonem — abym prawdy moich słów i czystości zamiarów dowiodł czynem. Z tą myślą nawet tu przyjechałem.

Nadstawiłem uszu, ciekawy co z tego będzie?

— Pan masz długi — rzekł krótko.

Trudno było zaprzeczyć, więc tylko spuściłem oczy, przybierając minę ptaka żywcem oskubanego.

— Wiem, że pan jesteście obecnie napastowany przez Wuchermana, tę pijawkę, która jest zakałą naszej gminy.

— Pan masz więcej takich pijawek pod swoim zarządem duchowym — wymknęło mi się.

— Wiem o tem, i przedsięwzięję też jedną z prac Herkulesowych: oczyszczenie stajen Augijaszowych. Da Bóg, że podołam temu, a tymczasem na początek chciałbym uporządkować pański interes z Wuchermanem.

To mi się najlepiej podobało z tego wszystkiego, co dotychczas powiedział; nie dlatego, żebym lekceważył kwestję zjednoczenia się z nami żydów, ale że ten jego środek prowadził najprościej do celu.

— Otoż — rzekł, wyciągając do mnie rękę — proszę pana, racz przybyć w tych dniach do mnie. Przywołam tego lichwiarza i przyprowadzę ugodę do skutku: aż nadto dosyć mieć będzie połowę tej kwoty, na którą pan mu wystawiłeś weksel, a i tę postaram się rozdzielić na małe raty przez ciąg lat paru na go-dziwy procent. Czy mogę rachować na bytność pańską?

— Panie! — rzekłem w uniesieniu — czyż możesz wątpić o tem? Jesteś feniksem, unikatem... jakże się panu odwdzięczę, jak nagrodzę...

— Nagrodą dla mnie będzie przeświadczenie, że spełniłem obowiązek.

— Ani słowa, i wolno panu na tem poprzestać, ale do mnie należy uczcić człowieka takiego jak pan.

To mówiąc, miałem na myśli ostatnie dwie butelczyny pozostałe w piwnicy jeszcze od przenosin: więc chwyciłem za dzwonek stojący zawsze na mojem biurku, aby zadzwonić na Grzesia.

Ale co u licha, czy czary jakie? ręka odmówiła mi posłuszeństwa: trzymałem rękę, a poruszać nim nie mogłem. Wszelkie usiłowania były daremne. Pomimo to, rzecz dziwna, dzwonek sam się odezwał: słyszałem jego głos. Dzwonił, dzwonił, naprzód jakby gdzieś daleko, potem coraz bliżej, aż nareszcie rozmachał się na dobre.

Nie mogłem zdać sobie sprawy z tego co się dzieje, siliłem umysł napróżno, nareszcie zmęczony... otworzyłem oczy.

Tuż przy sofie, na której leżałem, stał mój jedynaczek Staś i śmiejąc się, dzwonił mi nad samem uchem.

Spojrzałem na pokój: panów Szczęsnodolskiego i Koziogórskiego ani śladu, poczułem tylko mocną woń... czosnku; przy-czynę tejże łatwo zrozumiałem, ujrawszy przy drzwiach przy-jemnie uśmiechnięte oblicze Lejby Szymana, w jarmułce, z pejsami i ze wszystkim co do niego należało.

Dobryś! akurat kilka dni temu upłynął termin jego rewersu na sto guldenów, który mu wystawiłem przed trzema miesiącami. Wiem już po co przyszedł.

Ale ci panowie co tu byli przed chwilą? byłże to sen?

Zerwałem się na równe nogi, co zobaczywszy Lejba uklonił mi się jarmułką.

— Dzień dobry wielmożnemu panu — rzekł wdzięcząc się — wielmożny pan tak smaczno spał.

— Pocięż mnie obudził? — odparłem pochmurno rozespany jeszcze.

— To nie ja, to temu małemu — rzekł wskazując na Stasia.

— Skądżeś się tu wziął?

— Przyszedłem sak sobie.

— Słuchaj — rzekłem przeszedłszy się kilka razy po pokoju, ażeby ochłonić — jak się wasz nowy rabin nazywa?

— Po co nowy, kiedy my mamy starego? on się nazywa Szloma Goldwänder.

— A Koziogórskiego niema?

— O takim rabinie jak żyję nie słyszałem.

Oprzytomniałem przez ten czas zupełnie.

... ..
Niestety! Morfeusz figlarz zadrwił sobie ze mnie bezecznie, pokazując mi gruszki na wierzbie.

Co za szkoda!

... ..
— Gdybym miał nadzieję, że ty chociaż tego doczekasz, mój synu — rzekłem do Stasia całując go.

— Co niema doczekać — zauważył Lejba, nie domyślając się o czem mowa — jemu dopiero na świat!

Staś wybiegł z dzwoniem. Pozostałem sam z Lejbą.

Smutne rozczarowanie po tak pięknem marzeniu!

STANISŁAW LIPIŃSKI.

(WSPOMNIENIE).

Dokończenie.

W Warszawie miał Lipiński ciotkę rodzoną p. Lewocką i stryja Tymoteusza. Ten ostatni jednak, przeznaczony mu na opiekuna, zmarł wkrótce w tymże r. 1856. W roku następnym wstąpił nasz Stanisław do warszawskiej szkoły sztuk pięknych, gdzie pod prof. Konstantym Heglem, znanym szacownie wówczas rzeźbiarzem, stawiał pierwsze kroki na polu sztuki.

W r. 1859 nieznany mi bliżej powód zmusił Lipińskiego do opuszczenia Warszawy i powrotu do ojca. Bez niczyjej wiedzy puścił się w podróż piechotą, a w ciągu tej awanturycznej wy-cieczki pozostawiał w głównych jej przystankach ślady swojej artystycznej twórczości. Pozawierał wiele znajomości, wszędzie mile przyjmowany, żegnany i wspominany. Najwybitniejsze pamiątki swoich zdolności miał pozostawić w Dermaniu....

W końcu tegoż roku powrócił do Warszawy i uczęszczał dalej do szkoły sztuk pięknych, aż do chwili kiedy ją czasowo zamknięto. Było to w r. 1860.

Nastaly czasy burzliwe. Nadzieja odezwała się w piersiach milionów — Europa słowami zachęty popierała dążenia uciśnio-nego narodu. Lipiński poczuł, że nadchodzi chwila czynu, że na-leży porzucić kochankę sztukę, a oddać się na usługi matce oj-czyźnie. Nie chciał, aby go wypadki zaskoczyły nieprzygotowa-nego — pragnął przysposobić się do walki.

Skompromitowany wobec rządu przez udział w tajnej orga-nizacji, której polecenia spełniał z zadziwiającem lekceważeniem własnego bezpieczeństwa, opuścił kraj w połowie r. 1861 i udał się do Francji, gdzie bawił chwilowo w gościnie u swego stryja emigranta i u dalekiego krewnego generała Wysockiego. Po krótkim pobycie we Francji udał się do szkoły wojskowej w Ge-nui i uczył tam się sztuki wojennej pod Wysockim, a następnie pod Mierosławskim. Wskutek nieporozumienia z tym ostatnim opuścił Genuę w stopniu oficera i podążył do Cuneo, gdzie pod Langiewiczem dokończył studjów wojskowych.

Prędko nadeszła chwila, w której zdobyte wiadomości miał zużytkować — nastał bowiem rok 1863. Nieszczęśliwe wypadki ocenił kiedyś beznamiętnie historja. Zawiść stronnicza rzuca się dzisiaj na nie, obrzuca je błotem i słowy potępienia. Nie tu jest miejsce bronić sprawy, która mogła być nieroztropną, podjętą nie na czasie, ale była smutną koniecznością, wywołaną przez wroga i mądrych naszych polityków, wielkich jak ich dziś zowią mężów stanu. W każdym razie była to sprawa święta, a należenie do niej takich ludzi jak Lipiński jest jednym dowodem więcej, że podjęta została w celach czystych i szlachetnych....

Sprawa nasza rozmaicie się objawiała. Czasem ją można było znaleźć w przedpokojach ministerjalnych i wtedy odwiedzali ją szambelany i inni dygnitarze — czasem znowu wychodziła na pole bitwy i wtedy szli jej z pomocą ludzie zapala i serca, choć różnych przekonań i różnych stanowisk społecznych.

Lipiński biegł za ostatnimi. Jako setnik w organizacji wyprzedzał młodzież z Warszawy do oddziału Łakińskiego. Pod Łakińskim też przeszedł pierwszy chrzest ognia, służąc pod nim do marca jako instruktor wojskowy i dowódzca kosynierów.

Oddział Łakińskiego rozbity został przed Gąbinem w gostyńskim. Wpakowany między jeziora, rozproszył się. Część oddziału doprowadził Lipiński do Mielęckiego na Kujawy.

Otrzymałszy pozwolenie od Rządu Narodowego formował Lipiński kadry przyszłego powstania na Wołyniu. Tworzył oddział kawalerji złożony z samych oficerów i z tym oddziałem miał iść do Różyckiego.

Uformowawszy nareszcie doborowy oddziałek z 36-ściu kawalerzystów posunął się Lipiński wśród ciągłych utarczek w Lubelskie. We Wrześniu przeszedł nareszcie Bug koło Dubienki przebrany z towarzyszami za chłopów. Część resztek funduszu własnego, jaki Lipiński posiadał, przeznaczył na zakupno soli, aby towarzysze jego jako handlarze soli mogli przebierać się dalej. Ciężko jednak było zamiar przyprowadzić do skutku. Wielka ilość wojska i nieprzychylność włościan — zmusiła cofnąć się. Zebrany na nowo oddział został zaskoczony w Brzeziu pod Chełmem przez dwie sotnie kozaków i szwadron dragonów. Ogromna mgła nie dozwoliła widzieć zbliżającego się wroga. Lipiński wraz z drugim towarzyszem Jakubem Reinerem byli we dworze — reszta towarzyszy spoczywała w stajni. Zapóźno spostrzeżono nieprzyjaciela — Lipiński wybiegł ze dworu i odcięty od swoich gronkim głosem zawołał: nie poddawajcie się. Garstka uszykowała się do boju i galopem puściła się na przebój. Nieprzyjaciel zmięszał się, a zanim ochłonął już część się przedarła i uszła niewoli. Poległ wówczas ks. kanonik Marcinkowski, kapelan i paru innych. Reiner skrył się w żyto i ocalał, Lipiński zaś został wzięty do niewoli. Na szczęście miał przy sobie paszport austriacki wystawiony na imię Janiszewskiego, a jako taki odstawiony do Lublina został ztamtąd wysłany na Sybir.

Na Sybirze siedział lat pięć w jensejskiej gubernji, krasnojarskim okręgu. Towarzysze niedoli również jak i koledzy z powstania opowiadają, że był szanowany i lubiany od wszystkich. Wpływu swego użył przy organizacji nieszczęśliwego powstania na Syberji, ale oddalony od ogniska ruchu zanim wyruszył z innymi, katastrofa już nastąpiła. To go ocaliło — nie wpadnięto na ślad jego udziału.

W r. 1869 zawsze jako Janiszewski, poddany austriacki, został wypuszczony na wolność i przybył do Krakowa z zarodem trawiającej go później choroby. Bawił tu rok blisko uczęszczając do szkoły sztuk pięknych.

Ojczyzna nie wymagała już oręża — żądała pracy. Pobyt w Krakowie był bardzo trudny, a rozbudzona na nowo miłość do sztuki kazała podążyć mu do Florencji, gdzie zawiązał serdeczne stosunki z Lenartowiczem.

W r. 1872 powrócił do Krakowa. Wkrótce (w r. 1875) ożenił się i oddał się całej sztuce i rodzinie.

Wystawa powszechna w Wiedniu zachęciła go do ubiegania się o palmę zwycięstwa. Wykończył «Opuszczoną» i posłał ją, aby się zmierzyła z najnowszymi płodami sztuki rzeźbiarskiej....

Nie miał stosunków i protekcji — ztąd pracę jego umieszczono prawie z łaski nie w samym gmachu głównym wystawy sztuk pięknych, lecz w przybudowanej doń szopie drewnianej. Nie ukryła się jednak Opuszczona przed okiem jury — Lipiński jedyny z rzeźbiarzy polskich otrzymał medal..

Tak świetny początek zapowiadałby wiele, ale nie dla Lipińskiego. Cichy, spokojny, żył całkiem nieznanym. Reklama była mu wstrętną — a więc nasi «mecenasi sztuki» nie raczyli się nim zajmować i biedny artysta z większą trudnością zdobywał sobie kawałek chleba niż prosty wyrobnik. Pracował nawet przez pewien czas, on znakomity artysta, u kamieniarza....

Później sam wprost podejmował się roboty kamieniarskiej. Jak na tem wychodził, wspominałem już wyżej....

Choroba się rozwijała zastraszająco, a troska o chleb powszedni odrywała go od ideału, od sztuki. A jednak znajdował jeszcze tyle czasu i tyle w sobie siły, że liczne choć drobne ślady swego talentu pozostawił po sobie. Przypomnieć należy «Tejsknotę», «Niepokalanie Poczętą», «Głowę Madonny» w płaskorzeźbie, a wreszcie prześliczną «Kalinę», która jeszcze niedawno zdobiła salon naszej Wystawy.

Portretów w gipsie i marmurze zostawił kilkanaście, a mianowicie: panny Geppertównę, państwa Prylińskich, prof. Tarnowskiego, p. Wasiutyńskiej, dra Jodłowskiego, synka dra J. wreszcie własnej swej zmarłej dzieciny....

Rzeźby na gmachu Towarzystwa Ubezpieczeń i wiele rzeźb na Sukiennicach są również po nim pamiątką, Te śliczne główki tworzące kapitele kolumn przy wejściu do Sukiennic od strony ulicy Szewskiej wyszły z pod jego dłuta....

W każdą z tych prac umiał wlać tyle piękna i poezji, że poznać je łatwo wśród tysiąca innych. Był on bowiem nie tylko rzeźbiarzem ale i poetą....

W r. 1880 znajomy mój Dr. K. przyszedł do mnie z listem jednego z adwokatów wiedeńskich, w którym tenże ofiarowywał swoje poparcie utalentowanemu rzeźbiarzowi polskiemu, chcącemu podjąć się wykonania w płaskorzeźbie Galicji do fryzuru gmachu Rady Państwa. Natychmiast dałem znać Lipińskiemu, a w parę miesięcy później pracował już nad modelem Galicji. Po wielu komissjach i ocenach model przyjęto i polecono wykonać go w marmurze. Nie dość na tem: komitet artystyczny budowy z własnej woli przeznaczył dla Lipińskiego wykonanie drugiej płaskorzeźby przedstawiającej Niższą Austrię. Zdolności jego tak przychylnie oceniono, że wkrótce dyrygujący budową zapewnili mu roboty na przeszło 20.000 złr.

Nareszcie polepszenie doli nadeszło, ale już było za późno. Po przyjeździe z Wiednia w r. 1881 Lipiński silnie zapadł na zdrowiu i odtąd do ostatnich chwil życie jego było tylko męczarnią. Po paru miesiącach niemocy, następowała kilkotygodniowa ulga, — rwał się wówczas do pracy i znowu porzucał dłu, a raczej owo samo wypadało mu z dłoni....

W tych czasach walki o życie wykonał śliczny szkic: «Wolny.» Przedstawia on młodzieńca, któremu pęta kajdan opadają w chwili śmierci....

I on już za chwilę miał być «wolny.» Zamówień nie dokonał — siły nie wystarczyły. Dzień 5 Stycznia był ostatnim dniem jego życia...

Nad grobem zebrała się garstka przyjaciół. Zwłok jego nie odprowadzały tłumy; — tych, co tylko «swoje» wielkości uwielbiać umieją, nad grobem nie było....

A przecież ta trumna, na którą ziemia ojczysta spadała, kryła w sobie zwłoki najzaczniejszego człowieka, chlubę sztuki narodowej i jednego z najlepszych patriotów, bo Lipiński nie spierał się frazesami o to jaką matka-ojczyzna być powinna, lecz pierś jej własną piersią zasłaniał, a za miłość ku niej nie płacono mu karjerą i zaszczytami lecz niewolą, wygnaniem i zapomnieniem....

APOSTOŁ.

(„L'Apôtre“).

Dokąd idziesz, Pawle?

— Idę dla świata zbawienia

Głosić ludziom Świętą Wiarę — Religję Miłości...

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?..

— Apostole!

Na twem czole

Widzę ślad znużenia:

Lepiej mi jest tu, przy uczcie, pełnej wesołości...

Nie! Nie pójdę... to daremno!..

Dokąd idziesz, Pawle?

— Idę ludziom opowiadać,

Że braterstwa era wschodzi, prawdy i pokoju...

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?..

— Piękne rzeczy...

Nikt nie przeczy!

Miło o nich gadać,

Lecz wygodniej przy kielichu, niżli w ciężkim znoju!..

Nie!.. Nie pójdę... to daremno!..

Dokąd idziesz, Pawle?

— Idę ku Niebiosom drogę

Wskazać ludziom, upragnionym rzucić padół nędzy...

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?..

— Ku niebiosom? —

Slepym losom

Oddać się nie mogę —

A na podróż taką długą nie mam dziś pieniędzy...

Nie! Nie pójdę... to daremno!..

Dokąd idziesz, Pawle?

— Idę pokrzepiać rolników

I pobłogosławić polom, znojem ich oblanym...

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?..

— W pola? w lasy?

Takie czasy —

Pełno rozbójników...

I nie umiem gadać z chłopem ciemnym, oszarpanym...

Nie! Nie pójdę... to daremno!..

Dokąd idziesz, Pawle?

— Idę do miast: te mrowiska

Pełne zbrodni... Bóg mi każe wypłeniać tam grzechy...

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?..

— Któż śród miasta

Z tem się szasta

Jak dla widowiska?..

Kazaniami wzbudzim tylko litosne uśmiechy...

Nie! Nie pójdę... to daremno!..

Dokąd idziesz, Pawle?

— Idę do nędzarza chaty...

— Powstań — rzeknę — bo przed Panem wszyscy równi sobie!..

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?..

— Niewypada...

Trudna rada:

Krzykną wnet magnaty,

Żem demagog... a lud głupi jeszcze co przeskrobie...

Nie! Nie pójdę... to daremno!..

Dokąd idziesz, Pawle?

— Idę w cierpieniu ukrzepiać

Biedne ludy, które jęczą w niewoli kajdanach...

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?

— Niekoniecznie

To bezpiecznie;

Rząd się może czepiać...

Jeszcze zamknąć mięgotowi w czterech ciemnych ścianach,

Nie! nie pójdę... to daremno!..

Dokąd idziesz, Pawle?

— Idę z życia dać ofiarę

Na ołtarzu Prawdy, która szczęścia pragnie ludów...

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?..

— Piękne słowo!..

Jednakowo

Życie dać za marę —

Przykro... Umrzesz — już nie wstaniesz: niema takich cudów!

Nie! nie pójdę... to daremno!..

Dokąd idziesz, Pawle?..

— Idę razem z Aniołami

Po nagrodę wieczną do Boskiego Tronu...

Czy nie pójdziesz, człeku, zemną?..

— Nie! Dziękuję!..

Jeszcze czuję,

Że mię życie mami...

Potem... potem... gdy nadejdzie już ta chwila skonu...

Et, i myśleć nieprzyjemno!..

z Beranger'a L. Kozłowski.

DZIADUNIO.

NOVELLA

Bogdana Jelinka.

Zawsze go we snach widziała. Jej blade liczko różowiało, uśmiechała się, jak ta łączka z wiosny, jej usta szeptały: «Dziaduniu mój!» — I śniła dalej tak szczęście, tak błogo.

Była to biedna chatka, w której razem mieszkali; zgarbiona opierała się o starą wyschlą jabłoń, jak babka na kiju, a trzęsła się przy wietrze, trzęsła się przytulona do niej, jak dziaduszek się trzęsie, aby nie stracił ostatniej podpory.

U ubogiego łoża stawał często staruszek, trzęsły mu się stare ręce, jak te struny, kiedy smyczkiem delikatnie się ich dotykał, a na rzęsach drgały mu łzy bogate, niby rosa na kwieciu wiosny. Stawał tak długo, długo, każdego ranka wpatrywał się w bladą, wynędzniałą twarzyczkę swej wnuczki, nie mówił nic, modlitwa poruszała jego usta, modlitwa cicha jako mowa kwiatów.

Bał się obudzić swej wnuczki, pocałował ją w białe czoło — uśmiechnęła się jeszcze szczęśniej, ale pierś jej podnosiła się dalej tem samym cichem, spokojnem poruszeniem snu.

«Jagusi!» — Lecz Jagusia ani na głos dziadka oczu nie otwierała; boć prawie nie wymówił jej imienia, on je tylko wyszeptał, wyszeptał je tak staruszek, jak niegdyś za młodych lat na schadzkach miłośnych wymawiał imię swej żony drogiej, dziś dawno już w proch zamienionej.

Potem pomału podnosiły się stare, trzęsące ręce jego, smyczek z lekka dotknął się skrzypek, a z delikatnie drgających strun płynęła pieśń nadzieję budząca, ucieszna i krążyła koło poduszeczki i białych liczek Jagusi; dziewczę otworzyło oczy wyciągnęło ręce ku dziadkowi i pocałunkami go okrywało, aż nieborak z radości szlochał. To przerwało pieśń; skrzypki padły na białą ubogą pościółkę i zadzwiękły, jak gdyby zdala przemówiła do Jagusi krasa, której nie widzi, którą czuje.

Jadwiga była ciemną. Dziś wcześniej już dziadek odszedł. Jagusia stała przy oknie i przytykała gorące swe czoło do zimnego szkła. Na dworze był mróz. Słońce rozświetliło tysiące kryształów na oknie chałupki i zdawało się, że lodowe te osłony ożywiają ogień zgasłych oczu.

Patrzyła niemi. «Boże! Boże! Jaki tam mróz! Gdzie też dziadunio ogrzewa swoje stare kości!» — Drgnęła i po twarzy jej stoczyła się łza, spadła na szkło, możeby i zamarzała w kryształ najpiękniejszy. Drzwi izdebki cicho się otwarły, ktoś

wszedł. Jagusia się obróciła; było to poruszenie mimowolne, jak kiedy nas kto niespodzianie po imieniu zawoła.

Silna, do pracy przyzwyczajona ręka ujęła gładką dłoń dziewczyny: «Ty płaczesz, Jagusiu?» — «Janie!» zawołała i uściła rękę młodego — «o! taka zimna, musi tam być straszny mróz na świecie! Nie widziałeś dziadunia?» zaszepiała.

«Widziałem go. Rąbaliśmy lód pod miastem, a przy pracy grały nam jego skrzypki. Siedział pod bramą, nabierał sobie gdzieś trochę słomy, usłał sobie siedzenie a to wszystko, aby dla ciebie nieco zarobił; pragnąłby cię widzieć szczęśliwą, Jagusiu!»

«Szczęśliwą?» I nowy potok łez wytrysł na jej ciemne rzęsy. «Święta Panno!» zajęczała nagle, do serca cisnąc kurczowo białe swe ręce; lekki kaszel ulżył boleści, a usta jej zabarwiły się krwią.

«Szczęśliwą?» powtarzała jakby śniąc.

«Jagusiu» prosił nadewszystko Jan, «nie bądź tak smutną, kochamy cię, wszystko dla ciebie poświęcimy i dziadunio i ja, a ty nam tę radość, że dla ciebie pracować możemy, gorzką łzą kazisz!»

«Zdrowa twoja matka, Janie?»

«Ma się lepiej» odpowiedział cicho.

«Tyś szczęśliwy, Janie, szczęśliwy; choć w częstoczce spłacisz dług swój i nie jesteś starości ciężarem; o ja jestem nieszczęśliwą, strasznie nieszczęśliwą!» i kurczowe łkanie wydarło się jej z piersi.

Jan objął dziewczynę, pocałował ją w czoło i uchodził spiesznie z izby. Ciężko bo łzę stłumić!

Dzisiaj dobrze się podarzyło dziaduniovi. Żwawo jak młodziak spieszyl z miasta, uśmiechając się do swych skrzypek jak kochanek do kochanki.

«Tak, tak, moje skrzypeczki dziś będę mógł znowu raz przecie zgotować mojej Jagusi kawałek mięsa i trochę rosółu; posili się niebożatko, posili się, a to jest wasza zasługa moje dzieci! — Nie jestemże ja jako stara żebraczka,» śmiejąc się mówił do skrzypek, «a nie jesteście wy jak moje dzieci? Któżby się nie ulitował, kiedy się tak jakby z zimna trzęsiecie i jak nagie niemowlę płaczecie? Trzydzieści i sześć centów!» I dziadunio podskoczył sobie jak malec, któremu ojcuś wyciął w leszczynie konika. «O, dziś będzie dobrze, dziś się posili!»

Jego krok stał się jeszcze żwawszym, pod nogami skrzypiał mu śnieg, ale dziadunio nie czuł zimna, trząsł się, trząsł, lecz z niecierpliwości, że nie jest jeszcze w starej swej domowinie, a przytem przymrużył oczy i był tak uszczęśliwiony jak rzadko kiedy przez rok cały.

Było to święto dla niego, gdy niośł taki zarobek dla wnuczki swej, było to święto, o jakie się często najpobożniej modlił dziadunio. Innego święta nie znał, bieda go także nie poznała.

«Tak, tak, moja ty stara budo» mówił do siebie, gdy ujrzał wreszcie osnieżoną strzechę swojej chatki, «ten biały czepiec wcale ci do twarzy, ale jesteś staruszką wielką, a w starej kości bywa mało ognia i pewnie zimno tam temu dziecięciu; straszne zimno;» i dziadunio śpiesząc sapał a para na mrozie widoczna, sutym obłokiem osłaniała jego głowę.

Wreszcie zdążył do domu. «Pewnie jeszcze spi, pewnie śpi,» myślał, otwierając pomału niskie drzwi izdebki. Ostrożnie zajrzał do wnętrza, a spostrzegłszy Jagusię, zawołał: «Dziecię moje popatrz się, co dla siebie dzisiaj moje skrzypki wyśpiewały; chodź no, patrz, 36 centów, to będziemy mieli święto!»

I całował Jagusię, aż mu się skostniałe członki rozgrzały. «Tak, tak, mój ty kotku; widzisz, staruch przydał się jeszcze na coś, dokąd będę żyw, nie umrzemy z głodu, nie umrzemy.»

«O Boże mój» I Jagusia przytuliła się do starych piersi

dziadkowych, liczka jej pobladła jeszcze więcej «o—Boże mój!» zajęczała i nowy prąd krwi poplamił jej usta.

«No, no, dziecię moje» kołił ją troskliwie dziadunio, «Pan Bóg mnie zachowa jeszcze długie lata, teraz sobie spoczniej, połóż się, jesteś słaba, a tu jest takie zimno; tak, tak.»

I dziadunio gładził wnuczkę po twarzy i prowadził ją zwolna do pościółki. «Uspokój się, moja gołąbko, uspokój a nie myśl o niczem, jakoś to będzie.»

I pełen troski aż po białą szyję ją okrył, pocałował i odszedł.

Jagusia usnęła.

Śniło jej się, że krzak różowy wyrasta jej z serca. Wyrastał szybko. Tysiące gałązek rozrastało się jej w piersiach, a na każdej gałązce osiadł pączek jak rubin. Listek za listkiem wydobywał się z ostonek, rozwijał się i palił ją, jak gdyby słońce samo piersi jej uciskało. Wtem przystąpił staruszek do łóża. Na białych rzęsach perliły mu się łzy, skłonił się ku niej i do każdego pączka upadła perła jedna.

«Dziadunio, dziadunio» zaszepiała Jagusia we śnie «ach to dobrze, to chłodzi, to chłodzi!» I staruszek znikł.

Pączki rozwinęły się w róże, krzak wybujał, tysiące kolców wyrosło na jego gałązkach, a każdy oddech poruszał nim coraz bliżej, coraz bliżej serca. «Janie, Janie!» wołała Jagusia «ach to boli, to boli, straszny wiatr wieje — o Boże!» Największy kolec utkwiał jej w sercu. «Janie» szepiała Jagusia obudziwszy się i nowy prąd krwi wybiegł jej na usta.

«Janie!» — stłumionym, rozpaczliwym głosem zabrzmiało, potem było cicho.

Zimno było w izdebce, stary stół popękał z mrozu, a odwieczny zepsuty zegar długie bez miary wybijał godziny.

Jagusia ich nie słyszała — była martwą.

Stara jabłoń stała dziś nieruchoma. Zdawało się, że wieczorem usnął wietrzyk, nic nie strząsało srebrnego mroźnego śniegu z jej konarów na strzeszkę chaty, na której proggu wieczne «cicho» spoczęło.

W chacie paliło się łuczywo. Na białem, jedynem prześcieradle leżała Jagusia, u głowy jej klęczał Jan i płakał gorzko. I dziadunio tu był. Siedział w kącie, skurczony, nie przemówił, nie zapłakał dotąd. Długo trzymał w milczeniu swoje skrzypki, palcami cisnął kurczowo struny i cicho zawodził: «Już nie będziecie dla niej śpiewać, nie będziecie, dzieci moje!» Bolesny jęk wyrwał mu się z piersi, ale łza się nie okazała.

«Nie będziecie śpiewać, nie będziecie» powtarzał sobie, a ręka jego posunęła smyczkiem po strunach, «o, będziemy się modlić przy niej, dzieci, modlić» zaszepiała.

Ogarek wypadł ze świecznika, łuczywo się dopaliło, jedyny tylko bolesny ton odezwał się w izbie, potem było cicho.

*

*

*

Minął rok. Na ubogim cmentarzu uwiedły polne kwiatki już dawno, a na zmarzłych wieńcach, które na grobach ręka przyjaciół miłym swym położyła, błyszczał znowu drobny zmroźony śnieg.

I Jagusi grób był wieńcami wyposażony. Włł je codziennie dziadunio, kiedy wracał polem z miasta i kładł je tam każdego wieczora i grywał przytem tak przejmującą, tak tęskną pieśń, jaką słyszymy w nocy w polśnie, kiedy nas tęsknota obejmuje jakaś za czemć wiecznem, pięknem, niedosięgiem. Tak się modlił za Jagusią dziadunio.

Jan zapomniał prędko. Młode serce jest jak ziemia w dziewiczych lasach; na zwłokach martwej kwieciny wyrasta sto nowych.

Było południe. Do wsi wracali robotnicy; rąbali znowu lód pod miastem tak jak przed rokiem a droga, którą szli do domu, była w pobliżu cmentarza.

«Janie» mówił jeden z nich, «popatrz no się, dziadunio siedzi tam na grobie Jagusi a siedzi dziś tak cicho; co to jest, że skrzypki jego umilkły?»

«Zostawmy go w spokoju,» odpowiedział szorstko Jan, «stary błąka się po świecie bez nadziei i zapomnieć n.u tak ciężko. Dla czegoż oczy obracać na groby!?»

«Chodź przecie, chodź Janie, dzisiaj mróz tak silny, może dziadek usnął.»

Niechętnie poszedł Jan za swoim towarzyszem. Przyszli na cmentarz, na grobie Jagusi leżał złamany smyczek, sakiewka a w niej 36 centów.

Dziś była rocznica śmierci Jagusi, dziadunio miał snadź znowu na świąteczny obiad. «Wstańcie dziadku, dziadku wstańcie» mówił towarzysz Jana i ujął za ramię starca; ale dziadek się nie poruszył, oczy były przymknięte, a na rzęsach umarżyły perły dwie, pierwsze łzy po śmierci Jagusi.

Jedną ręką opierał się o drewniany krzyż, druga trzymała stare skrzypki. «Nieżywy» odezwał się towarzysz Jana, «odniesiemy go.»

«Nieżywy, nieżywy» powtórzył głucho Jan i bez towarzysza uciekł z cmentarza. Słyszał głos Jagusi za sobą.

Na niebie nie było obłoków; cienką lodową korą był śnieg powleczoney, a drgając błyszcząły na niej do słońca złote i zielone gwiazdki. Na okienku ubogiej chaty lśniło się znowu mrozowe kwiecie, stary stoł stał tam dotąd, a obok niego kładli na białe prześcieradło z skrzypkami śpiącego, martwego dziadunia. Usnął grając staruszek i domodlił się.

LAMENT MĘŻA.

(„De profundis“).

Żona moja w trumnie!..
Pójdźcież tłumnie,
Zbierajcie się, księża,
Tu, do męża...
Zaspiewajcie głośno
I donośno,
By doszło do Nieba,
Tam, gdzie trzeba,
„Requiescat in pace!..“
Ja zapłacę!..

Boże!.. Boże!.. Niechaj ma żonunia
Siądzie sobie w Niebie
Blizko Ciebie!..
Bo by jeszcze, tak jak jej mamunia,
Wyrwawszy się z piekła,
Tu uciekła!..

Żona moja w trumnie!..
Jakże tłumnie
Z jej drogiego cienia
Przypomnienia
Oblegają męża!..
A więc... Księża!..
Wyśpiewujcie głośno!..
I donośno
„Requiescat in pace!..“
Ja zapłacę!..

* * *

Chyba samo Niebo oświecało
Jasną swoją gwiazdą
Nasze gniazdo:
Bo po ślubie — żonie coś się stało,
Ze aż... dwa tygodnie
Było zgodnie...

Teraz ona w trumnie!..
Tłumnie, tłumnie
Z jej drogiego cienia
Przypomnienia
Oblegają męża!..
Hejże, Księża!..
Wyśpiewujcie głośno
I donośno
„Requiescat in pace!..“
Ja zapłacę!..

* * *

Czuła była dla mnie... rzadko kiedy...
Ale co z sąsiada —
Zawsze rada!..
Kłamie!.. bo pieściła i mnie... z biedy,
Chcąc się do pieniędzy
Dobrać prędzej!..

Dziś już ona — w trumnie!..
Jakże tłumnie
Z jej drogiego cienia
Przypomnienia
Oblegają męża!..
Księża! Księża!..
Wyśpiewujcie głośno
I donośno
„Requiescat in pace!..“
Ja zapłacę!..

* * *

Żadna jaknajczulsza turkaweczka
Nie zagrucha w wiosnie
Tak miłośnie,
Jak gruchała luba ma żoneczka,
Siedząc wieczorami...
Z huzarami!..

Boże!.. Ona w trumnie!..
Tłumnie, — tłumnie!..
Z jej drogiego cienia,
Przypomnienia
Oblegają męża!..
Mili Księża!..
Wyśpiewujcie głośno
I donośno
„Requiescat in pace!..“
Ja zapłacę!..

* * *

Żadnej straganiarki piersi zdrowe
Tyle nie wykrzyczą,
Tak z słodyczą, —
Ile ta nieboszczka — moją głowę
Codzień wykrzyczała,
Aż bolała!..

Dziś już ona — w trumnie!..
Jakże tłumnie
Z jej drogiego cienia
Przypomnienia
Oblegają męża!..
Drodzy Księża!..
Wyśpiewujcie głośno
I donośno
„Requiescat in pace!..“
Ja zapłacę!..

* * *

Boże Wielki! Jak ja mogłem przeżyć
 Żonę, która była
 Taka miła?!.
 Po pogrzebie chyba będę wierzyć,
 Że już wstać z mogiły
 Niema siły!..

Ale ona w trumnie!..
 A więc — tłumnie
 Z jej drogiego cienia
 Przypomnienia
 Oblegają męża!..
 Dobrzy Książa!..
 Wyśpiewujcie głośno
 I donośno
 „Requiescat in pace!..“
 Ja zapłacę!..

* * *

Ależ — Boże! Niechaj ma żonuncia
 Siądzie sobie w Niebie
 Blisko Ciebie:
 Boby jeszcze, tak jak jej mamunia,
 Wyrwawszy się z piekła,
 Tu uciekła!..

Ona jeszcze w trumnie!..
 Idźcież tłumnie
 I stawajcie Księża,
 Koło męża!..
 Wyśpiewujcie głośno
 I donośno
 By doszło do Nieba,
 Tam gdzie trzeba
 „Requiescat in pace!..“
 Ja zapłacę!!!..

z Berangér'a L. Kozłowski.

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Od rozpoczęcia na wiosnę kampanji w Turcji, nie mieliśmy udzielonych żadnych stanowczych poruszeń i działań wojska ros. Dnia wczorajszego przybył kurjer od naczelnie dowodzącego hr. Dybicza z doniesieniem o zwycięstwie blisko Szumli. Cesarz przeczytawszy rapport padł na kolana i wznosił ręce do nieba — poczem wybiegł do przyległych pokoi i kogo ujrzał radośnie oznajmiał wołając: cieszcie się! zwyciężyliśmy!

Dnia 21 odbyło się pod namiotem uroczyste nabożeństwo w obozie, wedle obrządku greckiego, na dziękczynienie za odniesione zwycięstwo. Cały dwór, ministrowie i znaczniejsi urzędnicy byli obecni, poczem całe wojsko przeciągało przed N. Panem, radośnie wykrzykując. Poczem obwożono po obozie i po mieście siedem zdobytych chorągwi tureckich.

Dnia 22 oddział gwardji polskich strzelców kon. poprzedzony muzyką, obwoził po ulicach świeżo nadślanych 16 chorągwi tureckich. Dwanaście z nich, każda innego koloru, bez żadnych ozdób bogatych lub tkanin, są znaki pułków pieszych, i mają na sobie niektóre wyrazy z alkoranu; cztery zaś małe należą do jazdy, nieco większe są od proporców ułańskich, kwadratowe, z wyobrażeniem półksiężyca i gwiazd.

Dnia 23 wyjechał następca tronu do Petersburga.

Dnia 25 N. Pan mając przy sobie sztabkapitana od kirysyerów adjutanta Aleksandrów (syn W. Ks. Konstantego i pani

Frydrychs) zwiedził wcale niespodzianie bibliotekę i gabinety uniwersytetu.

Dnia tegoż o $\frac{3}{4}$ na dwunastą w nocy, opuścił nas cesarz, udając się przez Zamość do Tulczyna na Podole, gdzie stoją gwardje.

Cesarz od dni był kilku oczekiwany w bibliotece, zwłaszcza, że dał do zrozumienia, że na godzinę przed przybyciem uprzedzi. Już stracono nadzieję, alści przybywszy niespodzianie bez żadnej świty, zastał tylko dwóch pomocników przy księgozbiornicy; gdy oglądał sale, wpada zadyszany dyrektor bibl. Linde. Cesarz go pozdrowia, wypytuje o szczegóły, chwali porządek, znaczny zakład, obiecuje mieć go w swej opiece; słowem, że sam był zadowolony i obecnych uradował swą popularnością. Nadszedł też rektor i sekretarz uniw. i podali raport o jego stanie. Przyjął łaskawie cesarz i rozmawiał z pierwszym po niemiecku, poznawszy iż po francusku z trudnością się wysławia. Następnie podano księgę do zapisania pobytu, wzbraniając się zapisać na oddzielnej stronnicy, zapytał gdzie jest podpis syna; gdy mu wskazano, rzekł: «der kleine Herr schreibt zu gut, zlebym się przeto przy nim wydał.» chciał widzieć podpis W. księżny Wejmarskiej i podpisał się *Nicolas*, po podpisach osób dworu księżny. Poczem pieszo zwiedził gabinety: numizmatyczny i obiecał nadesłać monety z kontrybucji perskiej; dalej mineralogiczny, fizyczny, plastyczny i zoologiczny, wszędzie wypytywał się o szczegóły i oddał sprawiedliwość znacznemu postępowi zakładów, w tak niedługim czasie od ich utworzenia.

Dnia 28 wyjechali do siebie w. księstwo Wejmarscy. Podczas swego tu pobytu zwiedzali ogród botaniczny, bibliotekę i gabinety uniwers. Sam książę jest lubownikiem, a nawet znawcą rycin, przeto dwukrotnie ten gabinet nawiedzał, z upodobaniem przeglądając piękny ten zbiór nabyty po Stanisł. Augustie i z daru Stan. Potockiego min. ośw. utworzony. Zwiedziła też księżna i szpital Dzieciątka Jezus.

Lipiec. Postanowieniem N. Pana wezwany został do zasiadania w radzie admin. generał dywizji Rautenstrauch. Szczęśliwie jest to uczyniony wybór; dał się on bowiem poznać jako obywatel prawy i nieskazitelny. Dodamy do tego, iż znany jest ze swych zdolności, z gruntownego pisania, (ale żałować należy, że we francuskim języku) i ze zdrowego sądu o rzeczach.

Dnia 2 powrócił W. Ks. odprowadziwszy cesarza do Łucka

Czytamy w postanowieniu N. Pana z dnia 2 czerwca: «Pragnąc dać najukochańszemu bratu naszemu W. Ks. Konstantemu cesarzewiczowi szczególną oznakę zadowolenia naszego, za znamenite zasługi, których nam w naszym Królestwie Pols. oddawać nie przestaje, przez zaszczytny sposób w jaki sprawuje ważne obowiązki sobie powierzone: postanowiliśmy i stanowimy co następuje: art. 1 Ekonomie: Skierniewice, Głuchów, Baków, Jeziorko i Kompin, ze wszystkimi ich przynależnościami, tak jak dawniej do księstwa Łowickiego należały, w darowiznie postanowieniami błogosławionej pamięci poprzednika naszego cesarza i króla Aleksandra I. 4 lipca 1820 i 9 lipca 1822 w Petersburgu wydanemi, bratu naszemu W. Ks. Konstantemu cesarzewiczowi uczynionej nieobjęte — darujemy teraz i nadajemy dodatkowo do dóbr Łowicz, tytułem darnym, na wieczną i nieodzowną własność prywatną, temuż najukochańszemu bratu naszemu W. Ks. Konst. ces. i jego następcom, z prawem nieograniczonym rozporządzania niemi podług upodobania itd. itd.

Przed dwoma prawie miesiącami nadesłano tu z wdztwa Sandomierskiego z pod Iwanisk, zamordowane dziesięciomiesięczne

dziecię chrześcijańskie. Ze śledztwa na miejscu okazało się, iż żydzi na święta W. Nocy popełnili to okrucieństwo, przekupiwszy niewiastę żebraczkę, która wykradła to dziecko u włościanki, poczem oddali jej żydzi nieżywe dziecko, ażeby je zakopała. Żydzi składają się tem, iż kobieta ta jest obłąkanych zmysłów i pijaczka. Z uczynionej tu obdukcji przez wydział lekarski, okazało się, iż krew umiejętnie ze wszystkich żył dziecka wypuszczono, a nadto uczyniony miało otwór na czole. Zrazu wzięto się skwapliwie do dojścia prawdy, czyniono puszukiwania, przemowano posłańców żydowskich, jeżdżących od miasta do miasta z nakazaniem postu itd. Przewidzieć można, iż sprawa ta, jak i tyle innych jej podobnych, w różnych epokach zdarzających się, zatartą będzie.

W podawaniu kandydatów do orderu 4tej klasy św. Stan. pocieszne pozachodziły omyłki, skutkiem czego otrzymali tenże order niektórzy urzędnicy, którzy od lat kilku mają 3ciej klasy, jednemu zaś z prowincji posłano order, nie wiedząc o tem, że zmarł przed rokiem. Powszechnie zaś sarkają, iż zasłużeni urzędnicy, a w tej liczbie rzetelnie zacni i wzorowi, zarówno z politycyantami lub szpiegami ozdobieni zostali. W całym znaczeniu nienawidzony adjunkt policji Szymanowski został także kawalerem 4tej klasy, w skutek czego widziano latającego po ulicach psa z tymże orderem zawieszonym na szyi. Niemało miała kłopotu policja w śledzeniu, gdzie też ów pies wstąpi, ale nadaremnie, gdyż się okazało, iż był bez pana i nie miał stałego zamieszkania.

Sprowadzony przeciw model posągu księcia Poniatowskiego z Rzymu, dzieło Thorwaldsena, ustawiony tymczasowo został i za dobrowolną opłatą jest ukazywany. Komitet trudniący się uskuteczaniem pomnika, czynił stosowną odezwę i wezwał zarazem o wniesienie do kasy nieuiszczonych dotąd zapisów. Uszkodzony on znacznie został w czasie tegorocznego wylewu w Gdańsku. Nie masz pewności, gdzie będzie ustawiony.

Zabawna jest rzecz, iż my dopiero z gazety petersb. dowiadujemy o pobycie Naj. Pana w Kaliszu, jak tam był przyjmowany itd. Toż samo gazety Berlińskie nierównie więcej szczegółów nam donosiły o koronacji, o pobycie u nas cesarskiej rodziny itd. i dopiero z nich pozwalano niektóre czynić wyjątki tu-tejszym redaktorom!!

Dnia 14 Paganini dawał dziesiąty i ostatni koncert. Upały ani słoty nie przeszkadzały słuchaczom tłumnie się zgromadzać, jednakowoż przeznaczony przez niego koncert na dochód ubogich był najmniej liczny. Lipiński wystąpił tylko raz z koncertem, który niewiele mu przyniósł dochodu. Zrazu czytaliśmy w gazetach ogólne i urywkowe zdania o grze wirtuoza włoskiego, na tem się zwykle kończące, iż porywał, unosił, zachwycał. W takim zapale publiczności niemało trzeba było odwagi i pewności rzeczy swojej, aby się odezwać z rozbiorem jego gry, wystąpił nareszcie z podpisem L. S. znawca muzyki, rozsądnie i umiejętnie zastanawiał się nad grą Paganiniego, więcej jednakowoż mu przyganiał, zarzucał szarlatanerję itd., Lipińskiego zaś przekładał i pierwszeństwo mu przyznawał. Pismo to stało się hasłem do zaciętej kłótni, odtąd codziennie wszystkie gazety były wypełnione artykułami muzycznymi, potworzyły się stronnictwa, po domach prywatnych publicznie o tem tylko rozprawiano, dowodzono, kłócono się. Słowem, zebrawszy razem wszystko co pisano za i przeciw Paganiniemu, utworzyłaby się spora książka. Niektóre z krytyk i odpowiedzi były wcale dowcipne, inne zagorzałe, inne nareszcie najniedorzeczniejsze, gdyż widać było, iż w gniewie, uniesieniu pisane.

Porucznik gwardji pieszej, January Suchodolski, adjutant gen. Wincentego Krasinskiego wprawia swój piękny talent w ma-

lowaniu obrazów z dziejów ojczystych. Żałowano powszechnie, iż na ostatniej wystawie nie widziano nic jego pędzla, nie dlatego, aby nie miał wykończonych utworów, ale nie udzielił ich na widok publiczny z najwyższego rozkazu.... Gdy cesarz zwiedzał gabinety uniwersyteckie, w jednej z sal zamieszczone były obrazy ostatniej wystawy, a między niemi dwa prace Suchodolskiego z przeszłej wystawy przedstawiające: zgon Władysława pod Warną i bitwę pod Wiedniem. Dowiadujemy się, iż Naj. Pan nabył je u właściciela, zapłaciwszy mu dwieście czter. zł. za każdy i odeśłać polecił do Petersburga. Żałować należy, iż nie zostały przeznaczony do tworzącej się u nas galerji narodowej. Młody artysta Hadziewicz, uczeń tutejszego uniwersyteckiego, ofiarował cesarzowi obraz oryginalny, wyobrażający Ś. Mikołaja odbierającego dziękczynienia ubogiej rodziny; N. Pan mieć chciał, aby Hadziewicz wystawy został kosztem rządu do Włoch.

Dnia 19 opuścił Paganini Warszawę, nagromadziwszy niemało grosza. Zwolennicy jego odprowadzili go w licznej towarzystwie do ogrodu Unruha za rogatki. Tam przy pożegnaniu Elsner, rektor konserwatorium muzycznego ofiarował mu imieniem zgromadzonych złotą tabakierkę z napisem: «Kawalerowi Nicolo Paganini, wielbiciele jego talentu. W Warszawie dnia 19 lipca 1829 r.» Jeden zaś z amatorów muzyki dał mu piękny pugilares, zawierający listę osob, które mu ten upominek ofiarowały. Włoch tak był wzruszony, iż nie był w stanie słowa przemówić. Siadając zaś do powozu, damy obsypały go kwiatami, nareszcie przy hucznych okrzykach puścił się w drogę.

Obrachowano, iż z dziesięciu danych przez Paganiniego koncertów, rachując w to i dany na ubogich, było dochodu w ogóle 70.178 złp. 15. gr.

Sierpień. W czasie bytności u nas Naj. Pana, autorowie, tłumacze, kompilatorowie i im podobni, niesli w ofierze na wyścigi swoje prace pięknie poprawiane, w nadziei otrzymania to zegarka, to pierścienia itp. Dotąd nie wiemy czy który co uzyskał. Otrzymał wszakże znaczne wsparcie pieniężne ksiądz Ciampi, kononik Sandom. były prof. uniwersytecki warsz. mieszkający w Florencji, korespondent rządu Król. do przedmiotów naukowych, na wydrukowanie dzieła swego, mającego zawierać wiadomości jakie istnieć mogą o Polakach i Rossjanach, którzy kiedykolwiek odznaczyli się we Włoszech, jakoteż Włochów, którzy zwiedzali lub pisali o Polsce i Rossji. Zakupił kazał cesarz 50 egzemplarzy zbioru portretów sławnych ludzi w Polsce (wydawcą w Krakowie jest młody głuchoniemy Ksaw. Prek galicjanin, posiadający znakomity talent rysunkowy). Polecił nabyć od Jakubowicza porucz. artyl. 200 egzemplarzy słownika ross.-polskiego i kazał zaprenumerować 50 egzempl. (po trzy dukaty) atlasu historycznego Polski, którego autorką jest panna Regina Korzeniowska z Podola.

Trzeci rok temu, a może i więcej, jak kilku z wyższego stopnia wojskowych naradzali się u gener. Izydora Krasinskiego, nad projektem poprawienia emerytury wojskowej, w tym celu, aby mogła być zatwierdzona od cesarza. Nie udał się im zamysł. Krasinski i tak nie lubiony od W. Ks. popadł w większą jeszcze niełaskę, odjęto mu dowództwo nad piechotą, a współpracowników pułk. Sierakowskiego, podpułk. Zalińskiego i kilku innych, osadzono w Ostrołęce z przydanem żandarmów, aby nie poważyli się za obręb miasta oddalać. Przebywszy na tem przykrem ustroniu dni nie pogody, mają przynajmniej tę pociechę, iż ogłoszono teraz postanowienie cesar. o emeryturach nader filantropijne. Urzędnicy cywilni wzdychają i pragną jak najgoręcej, aby i ich emerytura doznała podobnej zmiany.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Liryce greccy (doby klasycznej). Przekładał Jan Czubek. Wydanie Redakcji „Przeglądu Polskiego“ w Krakowie 1883, 8-vo str. 116.

Wielkimi byli Grecy starożytni w poezji opisowej, niedocięgniętymi prawie w dramatycznej, ale nie wiemy, czy nie najklasyczniejsi w liryce. Każdy objaw życia jednostki, drgnienie serca zranionego strzałą Erosa, tęsknota i cierpienie zakochanego, niemal rumieniec zakłopotania na widok ukochanej, każdy smutek i radość, wesele przy uczcie i humor przy kielichu napełnionym na cześć Bakhosa, zadowolenie wewnętrzne i gorycz z doznanego zawodu, słowem wszystko cokolwiek ducha ludzkiego wzruszyć potrafi odzwierciedla się wiernie w elegji, jambie, dytyrambie, peanie, pieśni, epigramie skolonie itp.

Literatura nasza posiadająca w przekładzie popularnym Odyseję, w filologicznie wiernym tragedye Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, komedye Arystofanesa, nie miała do ostatnich czasów przekładu liryków greckich. Przekłady Brunona Kicińskiego — zapomniane, przekład pewnej ilości liryków dokonany przez p. Alfa w książeczce p. t. „Na greckiej lirze“ nie zaspokaja najskromniejszych wymagań — i chyba tę tylko ma zasługę, że wywołał przekład prof. Czubka, o którym kilka słów chcemy powiedzieć.

Liryce, których przechoowane ułamki aż do naszych czasów prof. Czubek przełożył, pochodzą wszyscy z doby klasycznej greckiej literatury. Liczba ich wynosi 22, nie licząc w to skoliów. Przed utworami każdego z nich znajdzie czytelnik treściwie i pięknie napisaną notatkę, co wiadomo o życiu tego pieśniarza i podany charakter jego utworów. Nadto do wszystkich miejsc trudniejszych znajduje cztery stronicze uwagi na końcu, które pod względem rzeczowym nie pozostawiają nic do życzenia. Moglibyśmy tylko zarzut formalny zrobić tłumaczowi, dlaczego przy miejscach, które w objaśnieniach omawia nie zrobił odnośnika, zaznajamiającego o objaśnieniu umieszczone na końcu.

Co do samego przekładu nie będziemy się tu wdawać w uniejętne porównanie i zestawienie błędów lub zmiany myśli oryginału w przekładzie, boby nas to daleko zaprowadziło. Musimy tylko tę ogólną zrobić uwagę, że przedewszystkiem między melikami znajdujemy wiele piosnek bardzo udanych. Taki Anakreonty jak „Czemu piję?“ (str. 76) i piosnka ludowa „Jaskółka“ (str. 106) każą wierzyć, że to oryginalne lekkie wierszyki, tak w nich nie czuć trudu tłumacza. Osobliwie ta ostatnia śpiewana przy obchodzie „Jaskółki“ na wyspie Rodos (przypominająca raczej nasz zwyczaj ludowy chodzenia „po szcodrąkach“ a nie jak tłumacz sądzi „po śmiguście“) jest tak naturalna tonem ludowym, że czytając wiersze:

Daj, maszli dać, nie przebieraj

Jaskółeczce drzwi otwieraj

przypomina się piosnka ludowa nasza:

Jeśli masz grać, grajże ino,

Niech potańcuję z dziewczyną,

Usterki jakieby nam tu podnieść wypadało są tylko formalne, jak brak rytmu w wier. 8 od góry str. 12 wyrażenie „znasz malować“ str. 84 *nakolan-ków* na końkach *wał* (str. 63) nowotwory jak „poniewiera“ rzecz żeń. str. 85 „panosza“ rzecz męski (str. 88), niezrozumiały wiersz 15 od dołu na str. 11 i w w. 8 i 9 na str. 91. Dykcja niekiedy za pospolita, a nie zawsze poetyczna.

Ciekawy czytelnik znajdzie w przeczytaniu tego dziełka i miłą rozrywkę i naukę podaną w przystępnej formie, a niech się nie dziwi, gdy nieraz znajdzie podobieństwo do naszych poetów zygmuntońskich, którzy obficie z tego źródła czerpali. Zresztą „nie nowego pod słońcem.“

Projektu szkół średnich galicyjskich. Odbitka z „Biblioteki Warszawskiej,“ Warszawa 1883.

Znaną jest czytelnikom sprawa reformy naszych gimnazjów, choćby tylko ze sprawozdań pism codziennych. Zajął się nią Sejm krajowy, a wskutek tego komisje Tow. pedagog. Rady szkolnej i Akademji Uniejętności wygotowały sprawozdania, przedstawiające punkta reformy, jakoby w naszych szkołach średnich, ku pożytkowi ogółu zaprowadzić należało. Zestawieniem tych wszystkich projektów i poniekąd krytycznym ich przeglądem zajmuje się rozprawa, której tytuł powyżej przytoczyliśmy.

Autor (niewiadomy) podzielił swą rzecz na trzy części: w pierwszej p. t. „Charakter szkół średnich galicyjskich“ omawia kwestję jednostopniowości nauk realnych w gimnazjum i co z tem zostaje w związku, kwestję obciążenia uczniów, w części drugiej poczynawszy od geografji i historii przedstawia „Projektowane zmiany w poszczególnych przedmiotach“ dzieląc je znowu na przedmioty realne, języki i przedmioty nad obowiązkowe, a przegląd

ten treściwy zamyka tablicami rozkładu godzin na przedmioty obowiązkowe, jaki każda z wymienionych komisji przedstawia i rzecz o egzaminach dojrzałości jako celu nauki szkół średnich; część trzecia zajmuje się nauczycielami i władzami szkolnemi.

Jeżeli w poprzednich częściach rzadziej spotkać się nam przyszło z poglądami autora, który ściśle tylko dany materiał przedstawiał, za to w części trzeciej spotykamy się z przedstawieniem rzeczy, płynącym wprost z pióra autora a dotykającym z pewną goyczą ujemnych stron kształcenia nauczycieli, ich upośledzonego stanowiska, i upokarzającego wobec władz przełożonych. Ustępny to wzięty żywcem z panujących stosunków — przedrukował je też „Dziennik Polski“ w całości w dwu numerach w pierwszej połowie stycznia b. r.

Nie prowadzimy dla braku miejsca dłuższej dyskusji nad tym przedmiotem; nie zgodzilibyśmy się może z autorem na to i na owo, wytknęli za silne nałożenie czarnej barwy, ale w zasadzie możemy tylko polecić tę pracę nie tylko pedagogom ale i szerszej publiczności. Chcący się bowiem poinformować, jak też w ogóle sprawa reformy obecnie stoi, znajdą nie tylko to, co komisje przedstawiły, ale i to co przedstawienia i zreformowania koniecznie czeka.

M.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Ruch muzyczny.

Koncert Friemana.

Prócz koncertu krak. Tow. muzycznego nie mieliśmy w styczniu ani w pierwszej połowie lutego żadnego wieczoru muzycznego, a nawet z zapowiedzianych w tym czasie paru koncertów żaden nie przyszedł do skutku. Obecnie cały szereg produkcji muzycznych na luty i marzec jest już zapowiedziany, a rozpoczął go świetnie koncert Gustawa Friemana, który dany był w piątek dnia 16 lutego b. r. w sali hotelu saskiego z współudziałem orkiestry krakowskiej. P. Friemana mieliśmy już sposobność słyszeć w Krakowie przed kilku laty, lecz przez ten czas spotęniał jego talent i jego rutyna artystyczna wiele zyskała. Artysta ten, który tym wieczorem zapisał się tak sympatycznie w pamięci melomanów krakowskich, wykonał najpierw znany koncert Mendelsolna na skrzypce z towarzyszeniem orkiestry, następnie wielką fantazję z opery Faust Gounoda, ułożoną na skrzypce z tow. orkiestry przez Wieniawskiego i Nocturn Es-dur Chopina transkrypcji Sarasatego. Próż tego wykonał p. Frieman z własnych swych kompozycji na skrzypce: Romans, Polonez, Taniec góralski i dwa Kujawiaki. Artysta ten zajmuje dziś już wybitne miejsce między polskimi skrzypkami, a niepoślednie pomiędzy skrzypkami w ogólności.

Skończoną grę koncertanta, cechuje przedewszystkiem idealna prawie *czystość intonacji*, elegancja francuska, dokładność i wzorowe prowadzenie smyczka. Pierwsze dwa ustępy koncertu Mendelsolna a mianowicie Allegro i Andante niezupełnie nas zadowolili, trzecia część *finale* bardzo dobrze była wykonaną. Deklamacja rzewna i liryczna i słodki ton tego artysty nadają się więcej do utworów romantycznych jak do dzieł klasycznych, wymagających wielkiej siły.

Najsilniej wykonał p. F. Nocturn Chopina i własny polonez, który też z układu wdzięcznego bardzo się podobał. Śpiew góralski i kujawiaki są pełne wdzięku, życia i dziarskości.

Główną zaletą gry p. Friemana jest, iż z instrumentu swego (Stradivarięgo) wydobywa śpiew, którym wszystkich zachwycą. Koncert ten był dowodem, że i znakomity artysta zawsze jeszcze coś znajdzie do nauczenia się, że sztuka jest pod względem tajemnic swoich niezgłębioną i niewyczerpaną, a doskonałość w niej nigdy nie da się ściśle oznaczyć, jak się nie da ściśle zdefiniować cel jej ostateczny: *idealne piękno*.

Wzorowo akompanjował na fortepianie p. Fr. Bylicki. Orkiestra krakowska odegrała w wstępie wybornie uwerturę z „Fidelio“ Beethowena.

Maurycy Sieber.

ROZMAITOŚCI.

(W. W.) *Jak Mikołaj Rej z Nagłowic przedstawia w „Wizerunku“ kłopoty małżonka.*

Zasz takich nie widamy co się ożenają

Jako gęsi na wiosnę tak się odmienają.

Chodzi by podskubiony opuściwszy skrzydła,

Juz się nie po szwu porze, już nie golą szydła.

We łbie i na kołnierzu pierza pełno wszędy,
 Buty spuścił do kostek, prawie we trzy rzędy.
 Rzepa w dole pogniła, grochu nie dostaje,
 Słucha gdzie kokosz gdacze, aby znalazł jaje.
 Bo co się pierwój musiał jedno o się starać
 Teraz nędznik ani wié, czem się pierwój parać.
 Bo dom, dzieci, a żona nie natkane piekło.
 Już tam odkrój skoro się by najmnij przypiekło.
 Bo chociaż i z siebie drąc tam wszystko podaje
 Przedsię wszystkiego mało, zawždy niedostaje.
 Kupisz jej dziś koszulkę, jutro chce rańtuszka,
 A na święta pstrej sukniej ze szmelcem łańcuszka.
 Więc się Jasiék urodził gotujże mu mamkę,
 A skoro pocznie chodzić wnet piastunkę Hankę.
 Sprawże mu pstry kozuszek, więc czerwoną myckę
 A mamkę też z piastunką przystroj miłośniczkę,
 Coby sobie na *hajtus* z panięciem chodziła,
 Dajże jej jeść, gdy raczy, by go nie zgłodziła,
 Więc gdy Jasiék dorosie, a ktemu Hanuska
 To wełnę by z barana drą z pana tatuśka.
 Tej dokładaj na bramy *) a temu do szkoły,
 Już tam musisz w stodole rozpuścić sokoły...

* * *

„Ah mężu! wstań i pokołyś Jasia. — niech ja trochę pośpię;
 wszak to tak twoje dziecię, jak moje!„ — „Kołyś, kołyś duszyczko
 swoją połowę, moja niech sobie krzyczy, to mi spać nie przeszkadza.“

Skarga męża.

Przed ślubem aż wspomnieć miło,
 Serce Laury dla mnie biło
 Po ślubie ku mej udreće
 Nie serce bije, lecz ręce. (z Legatowicza)

Na zjadliwą żonę.

Mąż mruzczał, żona grała, a goście słuchali
 Kiedy każdy w niej wielką wprawę palców chwali,
 Ozwie się mąż hamując zbytnią grzeczność chwalców:
 Ma ona jeszcze język wprawniejszy od palców. (Legatowicz).

Pacierz do stołu dworskiego (z rękopismu Karmanowskiego).

Któryś raczył zgromadzić nas do tego stołu
 Błogosław co z korzenia i co do rosołu,
 Któryś stworzył z niczego niedostępne nieba
 Racz że nam dziś przeżegnać tę to skibę chleba.
 S. Pietrze otwarłszy niedobyte sklepy
 Błogosław nam pieczeńią i to mięso z rzepy,
 Miła św. Heleno, z miłą św. Anną,
 Przeżegnaj nam te kiszki pospołem z brytwanną
 Miły św. Adamie z swą małżonką Ewą
 Przeżegnaj to co z cukrem, i to co z podlewą, —
 Wszystkie nasze potrawy, ba i to co z chrzanem
 Błogosław nam nasz Panie, mówny wszyscy Amen.

Po obiedzie.

Który raczył nakarmić, czynmy Temu dzięki
 Że kto oka nie wykłuł, i nie narznął ręki
 Albo kto kogo nie zjadł w tak głodnej potrzebie—
 Teraz każdy swą (szklankę?) wypijmy do ciebie.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.


— Momus Żółtkowskiego w wydaniu księgarni K. Bartoszewicza opuścił prasę przed dziesięciu dniami. W ciągu tych 10ciu dni rozeszło się Momusa w samym Krakowie do 400 egzemplarzy. Niesłychany ten pokup wart zaznaczenia.
 — P. Bolesław Erzepki odkrył we Wrocławiu nieznaną bibliografom pracę *Jakóba Lubelczyka* p. t. „Wiridarz Krześcijański pięknie przyprawiony a s pismá świętego wdzyęcznymi zyoły zasadzony etc.“

*) brama = obszewka, ztąd obramowany.

— *Sarah Bernhardt* wydaje swój pamiętnik p. t. *Ma vie de théâtre.*
 — Ś. p. *Józef Szujski* podczas ostatniego pobytu w Suchy odnalazł tam kilkadziesiąt oryginalnych *listów Stanisława Orzechowskiego*, które wielce się przyczyniają do dokładnej charakterystyki tej postaci literackiej.
 — *Adolf Abrahamowicz* ostatnią komedijką p. t. „*Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz*“ zyskał pochwalne głosy krytyki lwowskiej.
 — Piękny przekład *Liryków greckich prof. J. Czubka* pojawił się w osobnej odbitce z „Przeglądu polskiego.“
 — „*Elektrę*“ tragedję Sofoklesa przełożył K. Kaszewski i umieścił w pierwszych dwu zeszytach tegorocznej „Biblioteki Warszawskiej.“

Z dziedziny malarstwa muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— W pobliżu Metz uatrąfiono na resztki budowli rzymskich, które po rozkopaniu uznano za fundamenta termów (łaźni). Znalezione na posadzkach piękne mozaiki, oprócz tego liczne naczynia szklane, gliniane i brązowe i kilka monet.
 — Świat starożytny grecki, rzymski a nawet wschodni przedstawia się nam coraz wyraźniej wskutek licznych co roku prawie pomnżanych wykopaniisk.
 ✕ Na *Akropolis* wykopano znowu posąg chociaż uszkodzony *Hery* lub *Afrodyty*, zdaje się jeszcze z epoki przed *Fidyaszem*, i małą (20 cm.) statuettę kobiecą z kamienia.
 ✕ W *Epidaurus* na miejscu świątyni *Eskulapa* odkryto posąg rzymskiego imperatora bez głowy i baareliet: *Eskulapa* na tronie, dalej sześć *Nereid*. Piękność kształtów i wykończenie dają poznać epokę rozkwitu szkoły attyckiej.
 ✕ W *Pompei* znaleziono znowu *Larium* (ołtarz domowy) jeden z najciekawszych zabytków tego rodzaju. Stał on w niży poza dwoma słupami; na tylnej ścianie freska przedstawiała fortunę w towarzystwie dwu larów. Obok tego znaleziono 6 statuetek brązowych: *Apollina*, *Eskulapa*, *Merkurego*, *Herkulesa* i dwa lary, wielkiej wartości, pokryte piękną szafirową patyną.
 — *La scuola Romana*. Pod tym tytułem wychodzi w Rzymie czasopiśmo poświęcone literaturze i sztuce, zajmujące się wyłącznie szkołą rzymską. Znani rzymscy literaci *Cugnoni* i *Castagnola* kieruje wydawnictwem.
 — *Towarzystwo angielskich akwarelistów* otwiera 30 Kwietnia b. r. swą wystawę w Akademji londyńskiej; i zaprasza do współudziału zagranicznych artystów.
 — *Rubinstein* napisał nowy balet „*Die Rebe*“, który w tym miesiącu ma być wystawiony w Petersburgu.
 — *Wilhelma Jordana*: „*Wdowa Agisa*“, 4aktowa tragedia cieszy się w nowem przerobieniu powodzeniem scenicznem w Frankfurcie.
 — *Jan Straus* kończy operetkę: *Guwernantka* z librettem *Fr. Schönthana*.
 ✕ *P. Roztworowski*, który otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie artystycznym „*Koła lit. artystycznego*“, nadesłał temuż Kołu resztę ilustracyj do *Ballady*„, odznaczających się piękną kompozycją i starannem wykonaniem.
 — „*Koło literackie-artystyczne*“ krakowskie przeznaczyło z dochodu balu kostiumowego sumę 500 złr. na zakupienie i wykucie w marmurze „*Opuszczonej*“ ś. p. *St. Lipińskiego*.
 — *Lipska gazeta muzyczna „Signale“* w trzech nrach zamieściła nadzwyczaj pochlebną ocenę kompozycji naszego współpracownika p. *Jana Gallakompozytor* ten napisał świeżo „*Marsz weselny*“, mający wyjść niebawem w Lipsku w czteroręcznym fortepianowym układzie.
 — „*Lwowski chór męzki*“ utworzył komitet do zajęcia się wydaniem śpiewaków narodowych. Z Krakowa powołano do komitetu p. *M. Siebera*.
 † *Ryszard Wagner*, słynny kompozytor niemiecki zmarł w połowie Lutego w Wenecji.
 — *PP. Żelazowski i Wojdatowicz*, opuszczają scenę krakowską udając się do Lwowa. Miłe złego początku....



Wacław Aleksander Maciejowski
 zasłużony historyk, badacz prawodawstw słowiańskich i literatury polskiej, b. professor uniwersytetu warszawskiego, członek licznych Akademij i Towarzystw naukowych, zmarł w Warszawie dnia 9 Lutego w 90 roku życia.

TREŚĆ Nru 4go: Co za szkoda, fantasmagorja przez *Józefa Blizińskiego*. *Stanisław Lipiński*, wspomnienie przez *K. B.* (dokończenie). *Apostoł* łom. z *Beranger'a L. Kozłowski*. *Dziadunio*, nowella *Bogdana Jelinka*, łom. z *czeskiego Bol. Szomek*. *Lament męża*, łom. z *Beranger'a L. Kozłowski*. *Zapiski Tymoteusza Lipińskiego* (ciąg dalszy). *Przegląd literacki*: *Liryce grecky J. Czubka* przez rz. i *Projekta reformy szkół* przez *M. Przegląd artystyczny*: koncert *Friemana* przez *M. Siebera* *Rozmaitości*. *Drobne wiadomości literackie i artystyczne*.

Do tego Nru dołącza się: *Starzec*, rysunek *I. Greima*.



STARZEC

studium, rysunek I. Greima.

BIBLIOTHEC
UNIV. A. N. S.
GRADOVIENSIS

